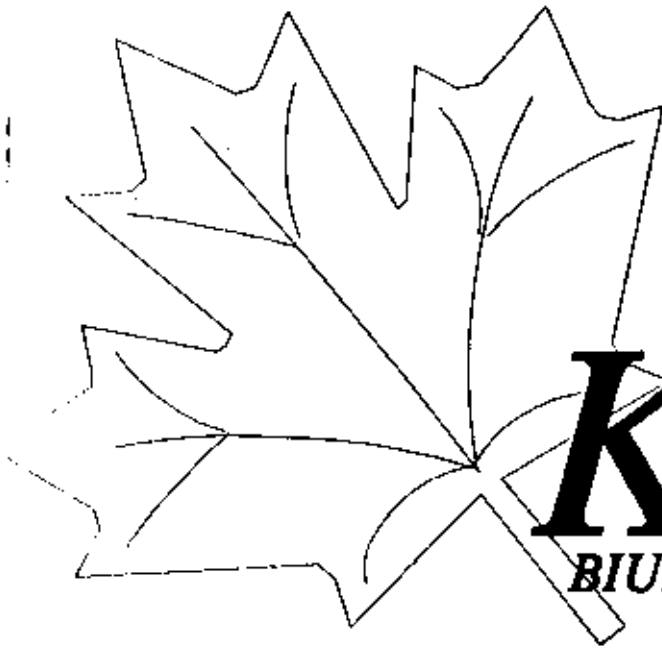


NR 2 Maj 1993



KLON

BIULETYN UCZNIOWSKI

*Katolickie Liceum
Ogólnokształcące
im. św. Filipa Neri*

Radom

ul. Grzybowska 22

Od Redakcji

Z pewnym zażenowaniem oddajemy do przeczytania czytelnikom nowy, drugi (dopiero) numer KLON'u. Pragniemy przeprosić za zwłokę wszystkich wytrwale oczekujących. Spowodowana ona była trudnościami typowo technicznymi. Jednakże teraz szybko nadrobimy wszystkie zaległości. zainspirowani spotkaniem z p. Piotrem Gachem prezesem Oddziału Lubelskiego Katolickiego Stowarzyszenia Dziennikarzy. Przy okazji pragniemy podziękować wszystkim tym, którzy przyczynili się do powstania tego pisma, a zwłaszcza nowym redaktorom KLON'u, dzięki którym gazетка została wzbogacona o interesujące pomysły i ciekawe propozycje.

Nie pozostaje nam nic innego, jak tylko zaprosić Was do czytania następnych stron i życzyć miłej lektury.

Będziemy bardzo wdzięczni za recenzje tego numeru KLON'u.

Redakcja

SPIS TRESCI

Od Redakcji	2
"Bierz plecak i w drogę"- część I poradnika turystycznego .	3
AIDS - czyżby "Dżuma XX wieku"	4
Radość	5
Międzynarodowa Szkoła pod Zagłami	7
Z pamiętnika dorastającego chłopca	9
Jest taki dzień, tylko jeden, raz do roku...	10
Jak uczyć się obcych języków - wywiad z Timem Sanfordem . .	12
"Oratorium"	13
Humor z zeszytów szkolnych	14
KRZYŻOWKA	15

"Bierz plecak i w drogę" - część I poradnika turystycznego.

No właśnie, co do niego włożysz? Przecież to nie jest takie proste! Co prawda pojemność plecaków jest prawie nieograniczona, ale czy to da się powiedzieć o wytrzymałości naszych plecaków?

Wybrać się "na łapu capu" - to nic trudnego. Ale jednak sztuką jest do wycieczki dobrze się przygotować, znać jej określony cel i program. Ponadto należy poznać zasady ekwipunku osobistego i wyposażenia turystycznego, by później w terenie nie znaleźć się w trudnej sytuacji. Pakując się stawiamy więc dzielnie opór mamom, ciociom, dorzucającym nam trzeci sweterek i piątą bluzeczkę "tak na wszelki wypadek". Objuczamy się nie więcej jak na jakieś osiem, max. dwanaście kilogramów. Bierzemy jedynie to co niezbędne. Tylko doświadczeni włóczykije wiedzą, co się naprawdę przydaje, a co spokojnie można sobie darować.

Strój wycieczkowy

Najważniejsze są nogi. One są naszymi "przewodnikami" w wędrowce. Mają więc prawo czuć się wygodnie i bezpiecznie. Takie wymogi spełniają tylko buty sznurowane na wysokiej twardej poduszwie z głębokimi wyżłobieniami.

Gładki spód może powodować na dłuższych trasach (ok. 20 km), pojawienie się bąbli, a nawet nietrudno wtedy o zwichnięcie czy złamanie. Dlatego odradzam zabieranie ze sobą tramppek (łatwo przesiakają), półbutów i pantofelków. Gdyby któraś z dziewcząt zaczęła chodzić po schronisku w "butach" na wysokim obcasie, byłaby zapewne godna politowania. W takim wypadku najlepiej jest

zabrać lekkie tenisówki. Na nogi, oprócz obuwia, musimy założyć skarpety, najlepiej dwie: cieńsze - koniecznie bawełniane, by stopa jak najmniej się pocila, i wełniane wywinięte na zewnątrz, by nic nie dostało się do buta.

Strój rasowego turysty składa się z długich spodni, koszuli flanelowej lub płóciennej, swetra oraz skafandra z kapturem. Do plecaka pakujemy drugą parę spodni lub spodenek na zmianę, dwie bawełniane koszulki, bieliznę osobistą i dobre okrycie od deszczu. Na wieczory w schronisku dobrze jest mieć lekki, ciepły bawełniany dres. Nie należy oczywiście zapomnieć o takich szczegółach jak: papier toaletowy, ręcznik, przybory do mycia, latarka oraz okrycie głowy, np. czapka. Jeśli nie zamierzamy korzystać z posiłków w schroniskach, musimy zabrać własny prowiant, najlepiej produkty wysokokaloryczne, ale lekkie. Pakujemy więc cukier w kostkach i niewysychający chleb razowy, suchą kiełbasę, konserwy mięsne (pamiętajmy o otwieraczu), czekoladę, suszone owoce itp. Chcąc być w pełni samowystarczalnymi zabieramy maszynkę do gotowania i lekkie menażki. Nasz ekwipunek zamyka podręczna apteczka zawierająca bandaż, plaster, jodynę, krople żołądkowe, talk, wazelinę. Oczywiście w niektórych wypadkach dobrze jest zabrać spiwór i materac, a nawet namiot. W ten sposób wyposażeni możemy wyruszać.

"Sęp"
C.d.n.

AIDS - czyżby "Dżuma XX wieku"

Uczniowie naszej szkoły mieli okazję spotkać się ze specjalistą w dziedzinie AIDS i rozmawiać na ten jakże aktualny temat. Dzięki temu poznaliśmy wiele istotnych zagadnień dotyczących tej choroby. Wiemy już, że aby doszło do zakażenia, muszą być spełnione trzy zasadnicze warunki. Musi być odpowiednia ilość i jakość, a także odpowiednie źródło wirusa HIV. Na pewno zarazimy się wirusem HIV, gdy dojdzie do stosunku pomiędzy partnerami, z których jeden jest nosicielem wirusa oraz przez transfuzję krwi. Są to dwa podstawowe warunki, które na pewno doprowadzą do zakażenia. Jednak nie bójmy się spotkania z chorymi, gdyż przez uściśnięcie dłoni, bądź przez pocałunek nie dojdzie do zakażenia. Nawet gdy używamy tych samych sztućców, czy korzystamy z tych samych urządzeń sanitarnych, nie zakazimy się. Dochodzimy więc do wniosku, że przestrzegając podstawowych zasad higieny i moralności, uchronimy się przed tą chorobą. Nie bądźmy goistami, bo nigdy nie wiadomo, czy przez przypadek nie otrzymamy krwi, np: podczas transfuzji; zakażonej wirusem HIV. I co wtedy? Odizolujemy się od świata, zagłębimy się w rozważaniach nad dalszym sensem naszego życia? Myślę, że ludzie nie boją się tak bardzo samej choroby, lecz śmierci. Znane są nam losy ludzi zakażonych. Wiemy, jak muszą okropnie cierpieć z powodu bólu zadawanego im przez ludzi zdrowych. Postawmy się więc w ich sytuacji. Co bym zrobiła, gdybym zachorowała? Zdałabym

się na samotność, czy próbowałabym dalej żyć? Lecz widząc wstręt i bojaźń otaczających mnie ludzi oraz narastającą we wnętrzu mej duszy zazdrość, czy nie chciałabym, ażeby i ci zdrowi, szczęśliwi, radośni, cieszący się urokami życia ludzie podzielili mój los? Zdarzyły się i zdarzają przypadki, gdy chorzy na AIDS zarażali specjalnie innych, zdrowych ludzi. Najczęściej staje się tak w gronie narkomanów, gdyż nie mają swoich igieł, strzykawek i używają cudzych. My nie rozumiemy tych wszystkich chorych, bo nie staramy się ich ani trochę zrozumieć. Uważamy, że trzeba od nich uciekać. Spróbowałyśmy z koleżanką spytać zwykłego przechodnia na ulicy:

- Co sądzi pan o AIDS?

(Natychmiastowa odpowiedź)

- Wolę nie mieć z tym nic wspólnego.

Nie poddałyśmy się i próbowałyśmy dalej, lecz reakcje pozostałych spytanych były takie same, bądź bardzo podobne. Czy w XX w. ludzie w państwie takim jak Polska, która dąży do jak najszybszego rozwoju gospodarki, techniki, a także kultury, nie potrafią powiedzieć nic innego na temat tej choroby? Okazuje się, że jeśli nie mamy bezpośredniego kontaktu z chorymi lub nigdy nie mieliśmy do czynienia z tą chorobą w naszym bliskim otoczeniu, nie potrafimy zdać sobie sprawy z naszej jakże dużej niewiedzy na temat AIDS. Na świecie ludzie są informowani na temat tej choroby przez prasę, radio, telewizję. Jest to konieczne również w Polsce. Gdyby tylko

trochę więcej obudziło się w nas tolerancji, wzrosła wiedza o podstawowych źródłach zakażeń; ludzie chorzy nie musieliby być skazani na powolną samotną, poniżającą śmierć. Nie można AIDS nazwać dżumą XX wieku, gdyż przed AIDS można się w dość prosty sposób uchronić. Natomiast trudno wyzwolić się od bakcyla dżumy w sensie przenośnym - od zła, które często przejawia się w ludzkich postawach: zobojętnienia, agresji, braku tolerancji.

Autorki:
Joanna Skorża
Małgorzata Bojarska



Radość

Dla nas młodych, zdrowych, silnych choroba, samotność, kalectwo wydają się czymś niewyobrażalnym, bardzo trudnym do przyjęcia. Pełni optymizmu i wiary w siebie kroczymy z dnia na dzień naprzód, nie zastanawiając się nad problemami "tych obok". A jak "oni" to czują? Czy człowiek niepełnosprawny jest w stanie żyć jak ten normalny, zdrowy nastolatek? A może niekiedy lepiej, pełniej? Z Zygmuntem Romanowskim rozmawia reporterka KLON'u:

M: Jesteś osobą niepełnosprawną: chodzisz o kulach. Czy byłeś kiedyś zdrowy? Jak zaakceptowałeś swoje kalectwo?

Z: Byłem małym dzieckiem, dotknął mnie paraliż całego ciała. Długo leżałem w szpitalu bez ruchu. Był czas, że karmiono mnie przez rurkę wpuszczoną do przelyku. Zacząłem mówić mając

7 lat. Wszyscy, z którymi leżałem na oddziale zmarli. Ja przeżyłem. To był cud. Lekarze uznali mnie za fenomen - paraliż ustąpił pozostając jedynie w lewej nodze a i na tej nodze mogę swobodnie stanąć. Mimo że mam grupę inwalidzką, nie uważam się za chorego. Wręcz przeciwnie - jestem zdrowy! Cieszę się z tego i dziękuję Bogu za tak olbrzymi dar. Muszę jednak poddać się skomplikowanej operacji w Stanach Zjednoczonych, aby zachować tę sprawność, jaką uzyskałem, ale na razie zdobywam na to środki ze sprzedaży kaset z własnymi nagraniami.

M: Nasi czytelnicy z pewnością chcieliby wiedzieć, gdzie nauczyłeś się tak wspaniale grać i śpiewać?

Z: Nie wiem. To Boży dar. Gdy byłem jako dzieciak w seminarium, nie chciano mnie przyjąć do chóru uznając

za kompletne beztalencie! Jestem samoukiem. Trochę pracowała ze mną zaprzyjaziwniona siostra zakonna. Później w szkole średniej sam, na przekór chciałem śpiewać i ... udało się.

M: Taka była twoja edukacja muzyczna, a ta ogólna?

Z: To długa historia. Nie znam swoich rodziców. Wychowywałem się w Domu Dziecka nie mając żadnych dokumentów. Nikt nie wiedział ile mam lat. Mimo iż nie chodziłem do szkoły, twierdziłem, że jestem z 4 klasy. Przyjęto mnie. Długo nadrabiałem powstałe w wyniku choroby i kłamstwa zaległości. Ale już w Technikum Elektronicznym w Poznaniu byłem prymusem i nie opuściłem ani jednej godziny w całej karierze szkolnej! Maturę zdałem celująco.

M: To niesamowite. Nie chodziłeś na wagary?

Z: Kiedy jeszcze byłem w podstawówce koledzy umówili się, że pójdą "na wagary". Nie wiedziałem, co to znaczy. Przyszedłem więc rano do szkoły, a tu nikogo nie ma. Nauczycielka pyta mnie, gdzie oni są, a ja z całą naiwnością mówię: właśnie miały być wagary, a klasy nie ma.

M: Śpiewasz w kościołach, szpitalach, szkołach, więzieniach. A konkursy?

T: Owszem, biorę w nich udział, choć nie przepadam za rywalizacją. Dwa razy wygrałem Ogólnopolski Konkurs Piosenki Religijnej, ostatni raz piosenką "Przebacz".

M: Czy to, co grasz, jest Twoją kompozycją? Kiedy ułożyłeś swą pierwszą piosenkę?

Z: Hm ... Chyba w podstawówce. Zakochałem się i

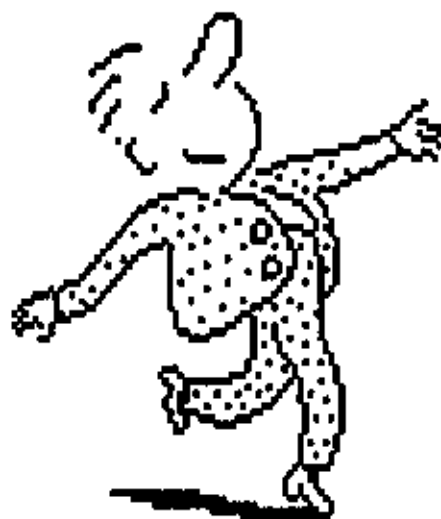
stworzyłem dla tej dziewczyny piosenkę. Potem działając w Duszpasterstwie Akademickim postanowiłem "zreformować" piosenkę religijną. I tak się zaczęło... Potem ułożyłem kilka piosenek kabaretowych...

M: Rozumiem. Jedno mnie zadziwia: Ty jesteś ciągle szczęśliwy, zadowolony, cieszysz się. Dlaczego?

Z: Bo żyję. Bóg dał mi łaskę życia i dar zdrowia. Chcę dzielić się tym ze wszystkimi. M.in. dlatego gram w kościołach, szpitalach, więzieniach. Pragnę ludziom zanieść Ewangelię - Nowinę radości, by cieszyli się jak ja. Nie martwię się o jutro. Wierzę ...

M: Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiała:
Magda Sępiol



Międzynarodowa Szkoła pod Żaglami

W Warszawie już od ponad 10 lat działa instytucja zajmująca się popularyzowaniem żeglarstwa, czyli "Międzynarodowa Szkoła pod Żaglami", kierowana przez kpt. Krzysztofa Baranowskiego. Fundacja ta, nie bacząc na problemy natury finansowej, dzięki pomocy sponsorów z kraju i z zagranicy, rok temu zbudowała nowy polski żaglowiec - 55m bryg o nazwie "Fryderyk Chopin". Rzadko kto wie o tym, że Polska jest żaglowcowym potentatem i posiada blisko 8 wielkich żaglowców. Po cóż więc tak ogromnym nakładem kosztów budować jeszcze jeden? I czemu on ma służyć? "Fryderyk Chopin", zgrabny i szybki jacht, sylwetką przypominający szesnastowieczne klipry, powstał z myślą o polskiej młodzieży, która jednocześnie uczyła się i pracowała na pokładzie żaglowca. Korzyści wyniesione z takich wypraw byłyby ogromne, gdyż wiadomo, że życie na morzu wyrabia odpowiedzialność i siłę charakteru. Żeglując niejednokrotnie przełamuje się własne słabości, senność, złe samopoczucie, niechęć do innych ludzi. Przy tym ma się możliwość poznania świata, zapoznania się z obcymi narodami i ich kulturami. Myślę, że wspólna żegluga jest doskonałym sposobem na otwarcie się bardziej na świat. Obcując z Anglikami, Francuzami, Niemcami czy Hiszpanami wyzbywamy się wzajemnych uprzedzeń, zawiązujemy przyjaźnie, które potem przetrwają całe lata.

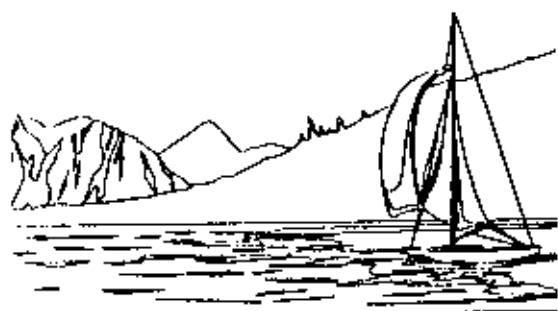
Wszystko to znam z

autopsji, gdyż miałam okazję popłynąć w pierwszym rejsie "Fryderyka Chopina" na Wyspy Kanaryjskie.

Rejs rozpoczął się 4 marca 1992r., ale na pokładzie żaglowca, zjawiłam się, podobnie jak i inni uczniowie "Szkoły pod Żaglami", pod koniec stycznia. Podniesienie bandery nastąpiło 29 lutego, a do tego czasu wszyscy pomagaliśmy w pracach wykończeniowych. Po miesiącu pobytu w stoczni, bardzo cieszyłam się, że wreszcie odpływamy. Pogoda na morzu wczesną wiosną jest okropna, zwłaszcza M.Pólnocne dało nam mocno w kość: sztorm za sztormem. Było zimno i wietrznie. Życie na morzu wbrew pozorom jest dość monotonne i prozaiczne - dużo pracy, mało snu, brak jakichkolwiek rozrywek. W każdy wraże tak ono wygląda, gdy żegluje się w tak fatalnych warunkach i przy tak niesprzyjającej pogodzie.

Rozkład dnia na "Chopinie" był następujący:

Pobudka 6.30, potem gimnastyka na chyboczącym się pokładzie, 7.00 - śniadanie, o 7.40 podniesienie bandery i apel, 8.00 - 13.00 - szkoła, o 14.00 obiad, od 15.00 sprzątanie pod pokładem i od czasu do czasu "p.p.k.", czyli: praca poza kolejnością - za karę, na przykład za gwizdanie (na statku jest zakaz gwizdania), o 19.00 kolacja, a od 20.00 do 22.00 czas wolny, w którym zwykle się spało, bo w nocy często robiono nam szkoleniowe alarmy. Byliśmy podzieleni na 4 grupy. Każda co 8 godzin



stała wachcie. Jedna osoba stała za sterem, dwie na "oku" i jedna na mostku.

Myślę, że atmosferę jachtowego życia najlepiej zobrazują moje zapiski z pamiętnika, poczynione 13 kwietnia.

"Dzisiaj były już chyba ze 4 alarmy do żagli i za każdym razem wrywały mnie ze snu (staram się odsypiać każdą wolną chwilę). Ostatni, a raczej przedostatni miał miejsce podczas sztormu. Wiało NB i musieliśmy zwinąć żagle. Jako znany napał polazłam na reje. Parę razy miałam wrażenie, że odfrunę, ale w sumie było extra. "Chopin" przewalał się z burty na burtę, przypominało to jakiś zwariowany taniec. Staralam się tylko trzymać blisko burty, bo on jest świetny, jeśli chodzi o pracę przy żaglach.

Teraz morze się uspokoiło, ale i tak nieźle kiwa. Pawia puściłam jednak tylko raz, po zjedzeniu wysmienitego żurku made by Danusia. Nie dane mi było się nim nacieszyć, zaraz po wyjściu na pokład rzuciłam się w stronę relingu..."

W Kadyksie rozpoczęły się regaty Columbus, związane z 500-leciem odkrycia Ameryki. Warunki żeglarskie poprawiły się o niebo. Oczywiście moje

samopoczucie także. Opisałam to w swoim liście do rodziców:

"Kadyks, 26 IV. A hoj! Nareszcie na ciepłych wodach, w słonecznych południowych krajach. Najwyższy czas po dwóch miesiącach marznięcia, moknięcia, kiwania i zygania. Od Glasgow żegluga coraz bardziej zaczęła przypominać żeglugę, a nie katorgę. Sama nie wiem, jak wytrzymałam te sztormy, kambuzy (dyżury w kuchni) podczas przechyłów 40-stopniowych, rzeczy wypadające z szafek, tłukące się talerze. Plywanie wiosną po M. Północnym - never more! W Glasgow zaokrętowała grupa młodych Szkotów i załoga podzieliła się na dwa obozy: ludzi i Szkotów. Ludzie mają szkołę pod żaglami a Szkoci wczasy pod żaglami.

Teraz w Hiszpanii nie mogę opędzić się od chłopaków. Ciągłe albo przełykają całusy, albo trąbią klaksonami. Ostatnio jakiś Hiszpan zaczął mnie na ulicy, przedstawił się, pocałował i usiłował poderwać. Spanikowana ucieklam. Ale nie ma czego żałować, bo nie był zbyt przystojny.

Jestem odcięta od gazet i telewizji. Zamknięta na 55-metrowej lupinie. Wciąż ci sami ludzie i morze. Morze... Niby to samo, ale co dzień inne. Czasem jest tak piękne, że nie brakuje ani domu, ani rodziny. Nie dziwię się, że każdy, kto spróbuje żeglarstwa - nigdy nie przestanie tęsknić za żaglami".

Columbus trwał do 11 lipca i kończył się w Bostonie. Ja wysiadłam w Las Palmas, gdyż tylko do tego portu miałam opłacony rejs. Wróciłam do Polski 18 maja, po tygodniowym pobycie na Wyspach Kanaryjskich.

całego korytarza zaczęli zabawę w "chowanego na siłę". Z kilkoma innymi w tajemniczy, nieznany mi sposób poczęli upychać ludzi po parę sztuk w szafkach 150-30-50 cm. W szafkach tych oprócz "chowanych" znajdowały się ciuchy, buty i książki. Gdy z coraz bardziej rosnącym zainteresowaniem przyglądałem się temu procederowi, ogłuszył mnie potężny ryk. Kiedy wreszcie doszedłem do siebie, dziewczynki siedzące na dole (bo wrzask dobiegał z góry) postanowiły odpowiedzieć tym samym. Wzniósłem oczy ku niebu, ale zamiast karzącego gromu dostrzegłem kilku chłopców trzymających innego parę metrów nad marmurową posadzką. Miałem mu poradzić, żeby lepiej nie wierzgał, bo mogą go nie utrzymać, ale w tym hałasie i tak by nic nie usłyszał.

W ciągu 20 minut (bo to była długa przerwa) zdążyłem jeszcze poznać talenty muzyczne (gitara), oberwać piłką do nogi "zrób to sam" (chłopca z klasy z kolorową nalepką na drzwiach) oraz przekonać do wegetarianizmu. (Tych było dwóch, obaj jedli: jeden nalepkę z szynką, drugi z rzodkiewką. Ten z rzodkiewką obrzydzał temu z szynką. Mnie też obrzydził). Na koniec wpadłem na niejakiego Łysego, który szukał czegoś i zdesperowany powtarzał, że zaraz się rzuci pod słońca. Podałem mu zgubę: małą, białą piłeczkę, która sprawiała im tyle radości przy grze, a mnie stuknęła w głowę pół minuty wcześniej. Uciekłem stamtąd w popłochu, bo ci od szafek przyglądali mi się badawczo, rozmyślając zapewne, czy dam się tam upchnąć.

Wagary? O nie, szybciej się rzucę pod słońca.

Zenek
kl. I KLO

To było 3 miesiące temu. Teraz jestem szczęśliwym uczniem szkoły, która mnie tak oszołomiła.

Jest taki
dzień, tylko
jeden, raz do
roku...

Spadła kolejna kartka z kalendarza i znów minął dzień, przechodząc do historii. Lecz już niedługo wydarzy się coś, na co czekamy.

S w i ę t a ,
uroczystości! Jak je obchodzimy? Czy zawsze tak samo? Czy były dobrze zaplanowane? Czy przyniosły dużo radości?

W tym momencie nie myślę o tych, których tradycję dobrze znamy, i które od wieków mają swoją wymowę (np.: dzielenie się opłatkiem lub wielkanocnym jajkiem). Mam na myśli raczej te, do których sami musimy ją stworzyć.

Tuż po oficjalnym rozpoczęciu roku szkolnego 92/93 Mszą z udziałem dostojnych gości, odbyły się "otrzesiny", które należą w KLO do najlepiej zorganizowanych uroczystości. Na niej to, po przejściu wielu ciężkich prób, pierwszoklasiści zostali przyjęci do naszego grona i u p r z e d z e n i o
niebezpieczeństwach, jakie

całego korytarza zaczęli zabawę w "chowanego na siłę". Z kilkoma innymi w tajemniczy, nieznanymi mi sposób poczeli upychać ludzi po parę sztuk w szafkach 150-30-50 cm. W szafkach tych oprócz "chowanych" znajdowały się ciuchy, buty i książki. Gdy z coraz bardziej rosnącym zainteresowaniem przyglądałem się temu procederowi, ogłuszył mnie potężny ryk. Kiedy szczęście doszedłem do siebie, dziewczynki siedzące na dole (bo wrzask dobiegał z góry) postanowiły odpowiedzieć tym samym. Wzniosłem oczy ku niebu, ale zamiast karzącego gromu dostrzegłem kilku chłopców trzymających innego parę metrów nad marmurową posadzką. Miałem mu poradzić, żeby lepiej nie wierzgał, bo mogą go nie utrzymać, ale w tym hałasie i tak by nic nie usłyszał.

W ciągu 20 minut (bo to była długa przerwa) zdążyłem jeszcze poznać talenty muzyczne (gitara), oberwać piłką do nogi "zrób to sam" (chłopca z klasy z kolorową nalepką na drzwiach) oraz przekonać do wegetarianizmu. (Tych było dwóch, obaj jedli: jeden kiełbaskę z szynką, drugi z rzodkiewką. Ten z rzodkiewką obrzydzał temu z szynką. Mnie też obrzydził). Na koniec wpadłem na niejakiego Łysego, który szukał czegoś i zdesperowany powtarzał, że zaraz się rzuci pod słońca. Podałem mu zgubę: małą, białą piłeczkę, która sprawiała im tyle radości przy grze, a mnie stuknęła w głowę pół minuty wcześniej. Uciekłem stamtąd w popłochu, bo ci od szafek przyglądali mi się badawczo, rozmyślając zapewne, czy dam się tam upchnąć.

Wagary? O nie, szybciej się rzucę pod słońca.

Zenek
kl. I KLO

To było 3 miesiące temu. Teraz jestem szczęśliwym uczniem szkoły, która mnie tak oszołomiła.

Jest taki
dzień, tylko
jeden, raz do
roku...

Spadła kolejna kartka z kalendarza i znów minął dzień, przechodząc do historii. Lecz już niedługo wydarzy się coś, na co czekamy.

S w i ę t a ,
uroczystości! Jak je obchodzimy? Czy zawsze tak samo? Czy były dobrze zaplanowane? Czy przyniosły dużo radości?

W tym momencie nie myślę o tych, których tradycje dobrze znamy, i które od wieków mają swoją wymowę (np.: dzielenie się opłatkiem lub wielkanocnym jajkiem). Mam na myśli raczej te, do których sami musimy ją stworzyć.

Tuż po oficjalnym rozpoczęciu roku szkolnego 92/93 Mszą z udziałem dostojnych gości, odbyły się "otrzesiny", które należą w KLO do najlepiej zorganizowanych uroczystości. Na niej to, po przejściu wielu ciężkich prób, pierwszoklasiści zostali przyjęci do naszego grona i u p r z e d z e n i o
niebezpieczeństwach, jakie

czyhają na licealistę.

Kolejne święto, które przeszło do historii szkoły, to Dzień Chłopaka obchodzony 30 września. Tradycja ofiarowywania upominków chłopcom, podobnie jak dziewczynom z okazji 8 marca, jest z założenia dobra, lecz jej efekty rozczarowują ubogością pomysłów. Są oczywiście wyjątki i to właśnie jest nadzieją na przyszłość.

Dzień 6 grudnia pamiętamy z dzieciństwa, kiedy to nie chcieliśmy zasnąć, aby nie przeoczyć przyjscia dobrego Sw. Mikołaja z workiem prezentów. I choć teraz zasypiamy spokojnie, to dobrze zorganizowane "Mikołajki" przynoszą nam tyle samo radości, co niegdyś. Może pamiętacie tego wspaniałego Mikołaja z długą brodą i mnóstwem paczuszek, który nas odwiedził w grudniu 1991 roku? Rok później też przybył, lecz pojawił się jako duch i zaraz zniknął. Może w przyszłym roku pozostanie z nami dłużej?

To były święta znane nam już od dzieciństwa. A z czym kojarzy się nam dzień 14 lutego? Jeszcze kilka lat temu znany był tylko nielicznym, ale od dwóch, trzech lat słyszą o nim wszyscy: Dzień Świętego Walentego, Święto Zakochanych, czyli po prostu Walentynki. W naszej szkole organizowane były dwa razy. Brakowało im jednak urozmaiceń. Może dlatego, że za mało wiemy o tradycji tego święta w innych krajach. Tam właśnie, m.in. miodzież, a nawet dzieci z przedszkola ofiarowują sobie serduszka z czekolady lub inne słodkości z dołączonymi do nich karteczkami. Do nas dotarły tylko karteczki jako "poczta św. Walentego" i to nie zawsze

w najlepszym wykonaniu.

Działwa szkolna nie zapomina jeszcze o dwóch ważnych dniach: 21 marca i 1 kwietnia.

Od wielu lat pierwszy dzień wiosny należał do uczniów i tego dnia, aby oderwać się od szarej rzeczywistości, ruszali w poszukiwaniu przygód na łono natury. Niestety czasy się zmieniły i aby uchronić nas przed nami samymi, szkoła bierze nas pod swoje opiekuńcze skrzydła, karmiąc wiadomościami. Podobnie 1 kwietnia pozostaliśmy w szkolnych ławach, w przeciwieństwie do ubiegłego roku, kiedy to filmy i konkursy urozmaicały nam życie. Czyżby zabrakło nam konceptu?

Na pocieszenie zostaje nam święto naszego patrona św. Filipa Neri. Program ubiegłorocznych obchodów tego dnia - 26 maja - był szczególnie bogaty i ciekawy. Miejmy nadzieję, że w tym roku także się nam powiedzie.

Elka Szapiek





Jak uczyć się
obcych języków
wywiad
z Timem
Sanfordem

Już prawie rok działa Szkoła Języków Obcych przy KŁO. Na razie można się tu uczyć dwu języków: angielskiego i niemieckiego; jednak w przyszłości Szkoła ma zamiar rozszerzyć swą działalność. Naukę pobiera tu ok. 130 uczniów, którzy podzieleni są na grupy w zależności od stopnia zaawansowania i wieku.

Każda grupa ma własnego lektora, z którym odbywa zajęcia 2 razy w tygodniu po dwie godziny. Uczą tu nie tylko nauczyciele KŁO, ale również profesorowie Studium Języków Obcych, lektorzy WSI, a w grupie o drugim stopniu zaawansowania (do której mam szczęście należeć) rodowity Amerykanin Tim Sanford, który prawie nie zna polskiego. Jednakże atmosfera jest tak wspaniała, a Tim na tyle cierpliwy, że starannie dobierając słowa, z humorem, stara się abyśmy wszyscy go zrozumieli.

Z pewną treścią poprosiłam Tima o wywiad dla KLON'u.

Marta: Wiemy już, że masz na imię Tim i przyjechałeś do Polski z USA. Czy mógłbyś powiedzieć nieco więcej o sobie?

Tim: Urodziłem się 8 kwietnia 1971 roku w New

Nelford. Ok. 1980 wraz z rodziną przenieśliśmy się do Virginii. Przez 4 lata chodziłem do szkoły w Nowym Jorku, później zacząłem swoje pierwsze podróże. M.in. byłem w ZSRR, w Chile. Później przez dwa i pół semestru studiowałem i bardzo miłe wspominałem ten okres: to były fajne i wspaniałe doświadczenia. Następnie przyjechałem tutaj. Interesuje mnie wiele rzeczy, ale najbardziej dalsze poznawanie muzyki. Kiedyś chciałem zostać muzykiem, ale mi nie wyszło... może kiedyś...

M: Dlaczego przyjechałeś do Polski? Czy był to Twój wybór, czy może ktoś Cię do nas skierował?

T: To był absolutny przypadek. Moja mama była tutaj nauczycielką i przyjechałem ją odwiedzić, jednak na początku nie podobał mi się Radom i wyjechałem. Kiedy znów tu przyjechałem, mój kolega zapytał mnie czy chciałbym uczyć angielskiego w szkole, a ja odpowiedziałem: OK, czemu nie? - I zostałem.

M: Jak Ci się podoba w naszym kraju? Co byś zmienił, gdybyś mógł, a co przeniósł do Ameryki?

T: Tak naprawdę nie ma w Polsce nic, co chciałbym zmienić. Prawdopodobnie, gdybym mógł, zmieniłbym system kapitalistyczny... Ja bym zmienił, ale inni ludzie - nie. Natomiast myślę, że przeniósłbym do Ameryki świadomość przynależności do danej grupy społecznej, jaka według mnie istnieje w Polsce. Myślę, że to jest bardzo silne tu, silniejsze niż w Ameryce.

M: Jak wygląda edukacja w USA, czy jest podobna do polskiej?

T: Według mnie edukacja w Ameryce to wielki żart, nieporozumienie. Republikanie, czyli ci, którzy sprawowali ostatnio władzę w USA, w ogóle

nie byli zainteresowani rozwojem szkół. Wiem, że system edukacyjny w Polsce jest trudny dla studentów i uczniów, ale reputacja polskiej edukacji jest znacznie lepsza od amerykańskiej. Polacy mi nie wierzą, ale wy naprawdę macie lepsze szkolnictwo niż my w Ameryce.

M: Jakiej muzyki słuchają najczęściej nasi rówieśnicy w Ameryce?

T: Bardzo różnej... Nie jestem w stanie dokładnie powiedzieć, ale ja, osobiście uwielbiam folk music i jazz oraz inne tego typu gatunki.

M: Jak spędzają wolny czas?

T: Wiesz, Ameryka to bardzo duże "miejsce" i trudno powiedzieć jak wszyscy spędzają czas. Jeśli oglądasz TV, to widzisz jak jeżdżą drogami samochodami, piją niskoprocentowy alkohol w dużych, ogrodzonych domach - ale tylko jeśli oglądasz telewizję. Przeciętny i prawdziwy Amerykanin, kiedy przychodzi wieczorem po pracy do domu: pije piwo, ogląda jakieś gry footballowe, pracuje przy swoim samochodzie, buduje, robi coś przy swoim domu. Treścią życia Amerykanina jest kompletowanie najpotrzebniejszych rzeczy.

M: Jak długo masz zamiar zostać w Polsce?

T: Myślę, że w przyszłe wakacje wyjadę. Chciałbym znaleźć pracę w Rumunii. Pobyt w Polsce jest tylko czasowy, ponieważ to Rumunia jest moją wielką pasją i bardzo mnie ten kraj interesuje.

M: Dziękuję za wywiad, życzę samych sukcesów w pracy i mam nadzieję, że będziesz mile wspominał pobyt w Polsce.

Marta Rajkowska



"Oratorium"

Zespół "Oratorium" jest grupą wokально-instrumentalną, której założycielem jest ks. Lech Gralak. A teraz kilka słów o tym, jak powstał zespół.

Kiedy ks. Lech Gralak zaczął swoją pracę duszpasterską w Radomiu 15 września 1975 roku, postanowił w myśl łacińskiego przysłowia: "Kto śpiewa ten dwa razy się modli", założyć scholę, która upiększałaby Liturgię Mszy Świętej od strony muzycznej. I tak w październiku 1975 roku ksiądz przesłuchał ok. 300 dzieci, z których wybrał dość liczną grupę dającą podwaliny pod obecny zespół. Ponadto zespołowi wokalnemu akompaniowało dwóch akordeonistów i dwóch gitarzystów, w tym i ks. Lech Gralak. Jest rzeczą oczywistą, iż stan osobowy zespołu ulegał ciągłym zmianom. Jedni nie zdawali egzaminu od strony muzycznej, a inni nie wytrzymywali tempa pracy, którą musieli wkładać w przygotowanie jakiegokolwiek programu.

Pomimo pracy ze scholą, ksiądz prowadził swoją pracę duszpasterską, a od 1976 roku zaczął angażować się wraz ze swoją grupą w prowadzenie pieszych pielgrzymek na Jasną Górę.

Po pierwszej pielgrzymce ksiądz zaczął myśleć o założeniu zespołu, o jakim marzył. Organizował sprzęt, co przychodziło mu z wielkim trudem z powodu braku funduszy. Należało również ustalić skład zespołu i nazwę.

Ostatecznie po wielu dyskusjach zdecydowano, iż pełna nazwa będzie brzmiała: "Wokalno-instrumentalny zespół "Oratorium" św. Filipa Neri". Nazwę tę zaczerpnięto z tytułu Kongregacji - Oratorium św. Filipa Neri, do której należy ks. Lech Gralak. W skład zespołu weszło: sześciu muzyków, trzy solistki, jeden solista i dwadzieścia wokalistek.

Za datę oficjalnego powstania zespołu przyjmujemy 1 września 1976 roku.

Ks. Gralak uważa, że bodźcem do powstania, ale szczególnie do żywotnego trwania jakiegos dzieła jest zapotrzebowanie na to dzieło. Stąd po pierwszych bardzo niesmiących występach w rodzinnej parafii Matki Bożej Królowej Świata ksiądz szukał zainteresowania pracą zespołu najpierw w parafiach diecezji, a potem na terenie całej Polski.

Wizja księdza nie ograniczała się wyłącznie do takiego sposobu działania. Uważał bowiem, że oprócz żywego przekazu śpiewanego słowa o treściach religijnych czy patriotyczno-religijnych trzeba ludziom pozostawić to wrażenie na dłużej. Stąd zaistniała konieczność rejestrowania muzyki zespołu na taśmie magnetofonowej.

Wraz ze wzrostem poziomu artystycznego zespołu nową kartę w historii "Oratorium" otworzyła ekspansja duchowa-artystyczna na Zachód. Miało to miejsce w sierpniu 1986 roku. Podczas podróży po Włoszech, w Castel Gandolfo, zespół spotkał się z papieżem Janem Pawłem II w celebrowanej przez Niego Mszy Św. gdzie otrzymał specjalne błogosławieństwo.

I tak pierwszy wyjazd na Zachód dał początek wyjazdom muzycznym zespołu do Republiki Federalnej Niemiec oraz Stanów Zjednoczonych i Kanady.

Obecnie wija siedemnasty rok działalności zespołu, a za nim 5 podróży muzycznych do USA i Kanady, 2 podróże do ZSRR, 8 podróży do Niemiec i 1 do Francji i Belgii.

Najstarszy zespół uległ małemu rozpadowi z powodu zamążpójścia kilku wokalistek, ale pomimo tak wielkich strat trwamy nadal. Obecnie zespół skupia wokół siebie 2 grupy dziecięce i 2 młodzieżowe.

Zespół w ciągu całej swej działalności na przestrzeni 17 lat wziął udział w ok. 1000 Mszach św., 500 koncertach w 450 parafiach na terenie Polski i zagranicą.

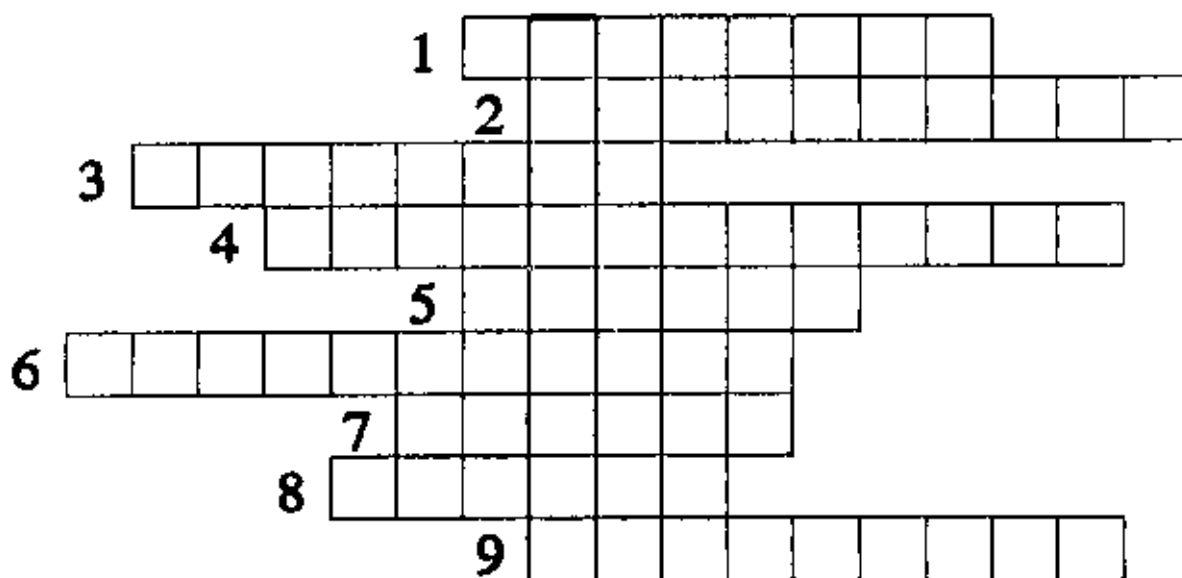
W tym roku zespół zamierza odbyć szóstą podróż do USA i Kanady. Odłot planowany jest w czerwcu, a przylot na przełomie września i października. Myślę, że jako uczniowie KLO, które działa przy Parafii Matki Bożej Królowej Świata, będziemy pomagać zespołowi i ks. Lechowi Gralakowi dobrym słowem i modlitwą.

Ewa Wojcieszak

Humor z zeszytów szkolnych

- Święty Aleksy prowadził życie prostackie, ale za to pełne wiary.
- Tartufe w kościele modlił się krzyżem.
- Swą prawdziwą osobowość ukrywał pod zasłoną dobrego człowieka.
- Rozum Orgena puścił wodze przy Tartufie.
- Po zdjęciu kłapek z oczu zobaczył swoje błędy.
- Wacław Potocki miał charakter bardziej wychowany od Jana Chryzostoma Paska.

KRZYŻÓWKA



1. *Działalność mająca na celu propagowanie hasel lub jakiejś ideologii.*
2. *Niedawno odwiedził nasze liceum - Zygmunt ...*
3. *Inaczej pyr.*
4. *Przechodzi ją każdy po wypadku.*
5. *... Hera.*
6. *Współczesny polski aktor komediowy (jego imię Zbigniew).*
7. *Najstarszy w rodzie.*
8. *"Biały kruk".*
9. *Rozpoczyna "Pana Tadeusza".*

- Czy wiesz, kim jest ten człowiek? (Patrz krzyżówka).

